

TADEUSZ BINEK

Mój lewicowy światopogląd

Mój światopogląd lewicowy uformował się już w okresie mej młodości, a ostatecznie w 1947 roku, w dużym stopniu jako reakcja na działalność i osiągnięcia ówczesnych formacji prawicowych, nie tylko polskich. Należały do nich: wywołanie II wojny światowej, gloryfikacja nacjonalizmów, faszyzm, krwiożerczy antysemityzm, nietolerancja religijna, zadufanie i głupota rządzących w Polsce międzywojennej, oraz egoistyczne chciejstwo i brak realizmu politycznego polskich prawicowych elit.

A ukształtował się na przebytych przeze mnie ciekawym szlaku życiowym, prowadzącym z przedwojennego Górnego Śląska, poprzez Kresy Wschodnie czasu wojny, do zniszczonego Wrocławia w nowej odmienionej, powojennej rzeczywistości polskiej.

Okres beztróskiego dzieciństwa i nauki w szkole podstawowej przeżyłem na Górnym Śląsku, zamieszkując wraz z rodzicami w dużej, przygranicznej osadzie górniczej Łagiewniki Śląskie, na wprost niemieckiego Bytomia. Ze swymi kolegami szkolnymi, a i wcześniej, chodząc do przedszkola, grywałem w szmacianą piłkę i wałęsaliśmy się po okolicy. Najdalej zapuszczaliśmy się na tereny biedaszybów pod Chorzowem. Trzeba tam było uważać, by nie wpaść do głębokich dołów. Były to szybiki, w których odbywał się nielegalny urobek węgla kamiennego, zwłaszcza w okresach kryzysowych.

Polegało to na tym, że bezrobotni górnicy spuszczeni byli przy pomocy prowizorycznego kołowrotu w głąb szybu- studni, gdzie kilofem wybierali węgiel do wiader. Wiaderka te były następnie wyciągane na powierzchnię, a przez ten czas górnik chował się w boczną niszę studni. Wiaderko z węglem zaraz było zabierane, zaś na dół spuszczano puste. Wydobyty węgiel odwożono do domów małymi wózkami. Wszystkie czynności na powierzchni wykonywali nieletni chłopcy, synowie górników. Rozstawieni byli też wokół na czatach i, gdy tylko ktoś niepowołany się zbliżał, natychmiast gwizdem dawali o tym znać. Te boczne nisze w szybikach, niewidoczne z góry, służyły też za schowek górnikom w przypadku "nalotu" policji na teren biedaszybów.

To że chłopaki przewożą i chowają nielegalnie wydobyty węgiel mogłem się tylko domyślać, gdyż żaden z mych futbolowych kolegów nie zdradził się przede mną ze swego udziału w czatach i chowaniu wydobytego węgla. **Ci chłopcy wyraźnie żyli w biedzie, a ich ojcowie przeważnie byli bezrobotnymi. Żałowałem ich, tak rodziło się we mnie (lewicowe) współczucie do biedy ludzkiej.**

Mniej więcej w okresie, gdy chodziłem do piątej klasy, stałem się bardzo religijny. Przejawiało się to w codziennym chodzeniu do pobliskiego kościoła na popołudniowe nabożeństwa. Była to moja własna inicjatywa, nie inspirowana przez nikogo. Moi rodzice nigdy nie przejawiali bowiem większego zaangażowania religijnego.

Pewnego popołudnia, gdy szedłem właśnie do kościoła, usłyszałem za sobą na ulicy jakieś krzyki i tumult. Odwróciłem się i zobaczyłem po przeciwnej stronie ulicy biegnącego, starego Żyda z długimi pejsami i w czarnej jarmułce, zasłaniającego głowę obu rękoma. Za nim środkiem ulicy biegło kilku wyrostków, którzy rzucali w niego kamieniami, wykrzykując jakieś obelgi i przezwiska. Scena ta poruszyła mnie do głębi i utkwiała w pamięci na zawsze. Współczułem temu staremu człowiekowi i nie rozumiałem, co on jest winien tym kilku goniącym do chłopakom.

Od tego momentu zacząłem się interesować problemem antysemityzmu, jaki wtedy ogarnął Polskę. Czytałem gazety, rozmawiałem o tym z mamą, która była zawsze tolerancyjna i wyrozumiała we wszystkich sprawach etyki i moralności. Czytała sporo książek i czasopism kobiecych, jakie prenumerowała. Miała realne, zdroworozsądkowe spojrzenie na świat i ceniona była za swe rady i uwagi przez sąsiadów, znajomych, w komitecie szkolnym.

Na Śląsku praktycznie Żydów nie było. Nie miałem w szkole żadnego kolegi pochodzenia ży-

dowskiego i znałem tylko jednego Żyda, który prowadził mały sklepik spożywczy na naszej ulicy. Więcej ich było w Chorzowie, gdzie należała do nich znaczna część sklepów, zwłaszcza domy towarowe.

W 1937 r. na Śląsku ogłoszony został przez pravicowo- nacjonalistyczne organizacje bojkot handlu żydowskiego. Na naszej ulicy polegało to na tym, że ludzie przestali kupować w sklepiku żydowskim, obawiając się szykan i przezwisk typu "bolszewik", "żydokomuna" itp. Wzrosły natomiast obroty w drugim na naszej ulicy sklepiku, należącym do Niemca. Moja mama zdecydowała się jednak nadal zaopatrywać w tym sklepie żydowskim. Z tym, że zakupy należały prawie wyłącznie do mnie. Chodziłem o zmroku z karteczką, na której były wypisane zamawiane towary.

Mamusia płaciła za zakupione towary raz w miesiącu po otrzymaniu pracowniczej pensji przez ojca. Sklepiarz oprócz kredytowania sprzedaży udzielał jeszcze mamie spory rabat, jako dla stałej klientki. Był on bardzo pracowity, uczciwy i rzetelny. Więc tym bardziej nie rozumiałem nagonki prowadzonej w Polsce na Żydów.

Antysemityzm, krzyczący się wówczas w Polsce, obejmował cały kraj, a przejawiał się w różnych formach, zależnie od środowiska i regionu. Był on pochodną sytuacji w Niemczech hitlerowskich, którym oficjalne władze polskie starały się jak najbardziej przypodobać. To już rozumiałem, bo wiele mówiło się o otwartej dyskryminacji i prześladowaniach ludności żydowskiej w Rzeszy Niemieckiej.

Ale również, a nawet w oficjalnej propagandzie w jeszcze gorszy sposób przedstawiano strajki robotnicze i lewicowe organizacje, szczególnie o orientacji komunistycznej.

Między innymi istniał w tamtym czasie ostry konflikt pomiędzy władzami i bardzo lewicowym Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Różne strajki, petycje, spory na tym tle, zdarzały się i w naszej szkole. Raz, wraz z kilku uczniami z innych klas, udaliśmy się do przyszkolnego mieszkania naszej nauczycielki od przyrody, która leżała chora w łóżku, a niedawno została zwolniona z pracy z przyczyn politycznych. Wręczyliśmy jej kwiaty oraz pieniądze, zebrane przez szkolny komitet rodzicielski. Bardzo się wtedy wzruszyła i popłakała. Było mi jej żal i domyślałem się, że zrobiono jej wielką krzywdę.

Idąc do szkoły pewnego jesienno dnia 1937 roku coś zdumiało mię w krajobrazie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że z żadnego komina po polskiej stronie nie wydobywa się dym. Nie rozumiejąc przyczyny, tego tak niezwykłego zjawiska, poczułem wyraźny niepokój oraz strach i jakby przecucie czegoś bardzo niedobrego. Rozglądałem się długo dokoła i liczyłem te nieszczęsne, "bezrobotne" kopalniane kominy Łagiewnik, Hubertusu, Lipin, Chropaczowa, Rudy Śląskiej i Chorzowa..

Dopiero znacznie później, po latach, poznałem przyczyny tego, wielomiesięcznego zresztą, przestoju śląskich kopalń węgla kamiennego. Otóż należały one wszystkie do niemieckich koncernów, w których posiadaniu były również kopalnie na Śląsku niemieckim oraz w zagłębiu Saary i Westfalii na zachodzie Niemiec. Gdy w 1937 roku na rynkach europejskich spadło znacznie zapotrzebowanie na węgiel, koncerny te zmuszone były do obniżenia swej produkcji. Oczywiście zrobiły to kosztem swoich kopalń w Polsce, utrzymując w pełni produkcję w kopalniach niemieckich. Sytuacja ta wyraźnie obrazowała polską mizериę gospodarczą i zależność od kapitału zagranicznego.

Oczywiście, mając raptem jedenaście lat, tych zawłości ekonomicznych jeszcze nie rozumiałem. Ale już odczuwałem, że te kopalnie, ludzie w nich pracujący, wydobyty węgiel, to znacząca częśćka Polski. Zaś Polska to ojczyzna mych najbliższych oraz moja i jej dobro i powodzenie było mi bliskie i cenne. Oraz, że te bezrobotne kominy źle świadczyły o jej kondycji.

Na Śląsku dużo pisano i mówiono o zagrożeniu ze strony Niemiec. Stwierdziłem to wyraźnie w czasie wakacji 1939 r., które spędziłem na wsi w rodzinie ojca w województwie Poznańskim. Brałem tam udział w ćwiczeniach, związanych z użyciem masek przeciwgazowych, jakie odbywały się na placu przed kościółkiem dla miejscowej ludności i młodzieży. Na placu prowadzona też była zbiórka pieniędzy na zakup karabinu maszynowego dla wojska. Zaś z rozmów mych krewnych i znajomych wyczuwało się już wyraźną groźbę nadciągającej wojny.

Ojciec, pracując w Straży Granicznej oraz tajnie w Wywiadzie Wojskowym, znał doskonale sytuację i przygotowania wojenne, czynione na Śląsku niemieckim. Mówił mamie o koncentracji wojsk pancernych w lasach, o szerokim szkoleniu Ślązaków niemieckich do działań dywersyjnych. Szczegółowe meldunki słał do centrali w Katowicach, ale spotykały go za to tylko poławiania za defetyzm. Oficjalne władze, rządzący, faktycznie chyba nie dopuszczali myśli o możliwym, bliskim kon-

flikcie z Niemcami.

Mimo prowadzenia coraz ostrzejszej kampanii przeciwpolskiej w Niemczech - rząd polski znosił więc cierpliwie różne antypolskie prowokacje i tuszował konflikty. Starał się bowiem uparcie realizować politykę "zbliżenia z Niemcami", zainaugurowaną przez Piłsudskiego w 1934 r. dwustronnym paktem o nieagresji. Swą wolę kompromisu i utrzymania przyjaźni z hitlerowską Rzeszą akcentowano zwłaszcza wzmożoną propagandą antyradziecką. Również w tej materii polityka polska lat międzywojennych była niezmienna. Wyraźnie nienawistna do wszystkiego co działo się za naszymi wschodnimi granicami.

Pod wielkimi tytułami typu "Kolos na glinianych nogach!" gazety opisywały słabość i rozkład armii i gospodarki Rosji. Artykułom tym towarzyszyły różnego rodzaju karykatury, z których najczęstszą był rysunek białego niedźwiedzia, oblepionego plastrami i wspartego na szczudłach. Ja sam kupiłem sobie spory obrazek z rysunkiem świni, na którym, gdy patrzyło się nań nieco z boku, to pokazywał się portret Stalina. Oczywiście żadnych tego typu karykatur Hitlera wtedy nie było.

Wręcz przeciwnie, dość szeroko okazywany był podziw i pochwała Niemiec w ogóle, a ustroju faszystowskiego w szczególności. Na przykład w podręczniku mej siostry do nauki języka niemieckiego dla II gimnazjalnej były entuzjastyczne czytanki o dokonaniach w Niemczech, które okraszane były zdjęciami Hitlera, paradnych marszy Wehrmachtu, budowy autostrad itp.. Natomiast o Związku Radzieckim pisano w gazetach niezmiennie jak najgorzej.

W sytuacji wyraźnego zagrożenia za strony niemieckiej, co na Śląsku było wyczuwane bardzo wyraźnie, taka postawa władz państwowych, wyrażających wciąż nadzieję na miłość z Rzeszą Niemiecką, budziła u wielu ludzi krytyczne refleksje. Słyszałem takie zdawkowe krytyczne uwagi dorosłych. Podobnie dziwno się demonstrowaniu absolutnie wrogiego stanowiska do wielkiego sąsiada wschodniego i odrzucaniu jakichkolwiek ofert współdziałania i pomocy w obronie przed możliwą agresją niemiecką. Dopiero po latach zrozumiałem, że ówczesni rządzący kierowali się przesłankami prawicowej ideologii, przychylniej ideałom i wartościom, głoszonym przez faszyzm, a wrogiej ideałom socjalizmu, w jakiejkolwiek bądź postaci.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. uciekliśmy ze Śląska na dalekie wschodnie kresy Polski, do rodziny mej matki, zamieszkałej w województwie tarnopolskim. Już nazajutrz po przyjeździe do celu naszej podróży, Niemcy rozpoczęły wojnę przeciwko naszemu państwu. Wkrótce, mimo dużej odległości od granic zachodnich, wojna dotarła również do nas.

W dniu 18 września, w godzinach rannych, usłyszeliśmy potężny warkot od strony drogi prowadzącej do Stanisławowa. Znaczny odcinek tej drogi, łączący miasto z przedmieściem, wraz z mostem na Koropcu, był doskonale widoczny z domu, w którym zamieszkiwaliśmy. Drogą z miasta w kierunku Stanisławowa jechały czołgi. Były to czołgi rosyjskie, z wielkimi czerwonymi gwiazdami na wieżach, wszystkie jednakowe, z niedużymi działkami. Zacząłem je liczyć. Liczyłem do zmroku i również w nocy, obserwując światła reflektorów. Przestałem liczyć, gdy przejechało 500 maszyn. A jechały jeszcze w następnym dniu.

Po południu udałem się na mój kilkudniowy punkt obserwacyjny przy drodze lwowskiej. Na szosie nadal stał sznur furmanek polskich taborów wojskowych, które wolno przesuwaly się w kierunku miasta. Tam przy fabryce tytoniowej żołnierze byli rozbrajani, zaś wozy i przewożony sprzęt przejmowane przez świeżo urządzoną wojskową, rosyjską komendanturę miasta.

Jednakże tabory zajmowały tylko skrawek szosy i jej poboczne. Środkiem natomiast w kierunku Lwowa jechały nieprzerwanie samochody ciężarowe z czerwonoarmistami. Na każdym samochodzie siedzieli gęsto żołnierze w szarych szynelach, w szpiczastych czapkach i z karabinami, wyposażonymi w bagnety. Większość załóg śpiewała głośno jakieś marszowe, wojskowe pieśni. Wiele samochodów ciągnęło nieduże działka polowe i przeciwczołgowe. Tegoż wieczoru widziałem jeszcze wielkie romby-taflę po 64 samolotów bombowych, lecących wysoko i powoli na zachód.

Wszystko się we mnie załamało. Ojciec, który wrócił poprzedniego dnia z rozbitego frontu pod Lwowem, opowiadał o szarżach niemieckich czołgów i bombardowaniach lotniczych. Zaś przede mną przetaczały się pancerne dywizje wschodniego "kolosa na glinianych nogach". Nie zobaczyłem natomiast ani jednego czołgu czy samolotu mojej Polski, ponoć "silnej, zwartej i gotowej", a nawet porządnej ciężarówki wojskowej. Przez trzy dni defilowały przede mną tylko niekończące się tabory konnych wozów, konwojowanych przez żołnierzy, uzbrojonych w karabiny.

Wojska rosyjskie przejeżdżały przez nasze miasteczko jeszcze przez kilka dni. Wszyscy myśleliśmy, że rozpoczyna się wojna rosyjsko-niemiecka. Słowa "Idą na Niemca!" powtarzali moi krewni, znajomi, przechodnie. Tak też zapewne sądził cały świat.

Hitler realizował jednakże swój długofalowy plan stopniowego podbicia całej Europy i ani myślał wciąć się, na tym etapie, w wojnę z Rosją. Zaś Stalin również nie miał żadnego interesu podejmować w pojedynkę wojny z potężnym przeciwnikiem. I chociaż było to marzeniem polityków zachodnich państw demokracji parlamentarnych, których dyplomacja okresu międzywojennego cały czas o to usilnie zabiegała - do wojny między Rzeszą Niemiecką i ZSRR w 1939 roku nie doszło.

Gdy po krótkiej jednomiesięcznej kampanii wojennej zdano sobie sprawę, że Polska sromotnie ją przegrała, zaczęło się powszechne narzekanie i szukanie winnych. Obwiniano przede wszystkim władze państwowe za słabą, zacofaną gospodarkę, nie przygotowanie do wojny, okłamywanie społeczeństwa, bez troskę rządzących itp. Złorzeczono na Francję i Anglię, które poza formalnym, wymuszonym wypowiedzeniem wojny Niemcom, nic nie zrobiły, by pomóc militarnie napadniętej Polsce. Obruszano się też na Rosję, że nie wsparła nas, mimo deklarowanej przedtem ostro wrogości do Niemiec hitlerowskich

Ja też należałem, na skalę swego młodego wieku, do grona tych zawiedzionych i rozczarowanych. Tyle, że w przypadku ZSRR już wtedy uważałem, że naiwnością było oczekiwanie od tego państwa zaangażowania się w wielce ryzykowną zawieruchę wojenną dla wsparcia Polski, która przez całe dwudziestolecie swego istnienia gosiła nieodmiennie swą wrogość do niego.

Trzeba było żyć dalej, pracować i uczyć się na miarę możliwości. W latach 1940-41 skończyłem dwie klasy, szóstą i siódmą dziesięciolatki, jaką Rosjanie utworzyli w naszym miasteczku. Potem w Generalnej Guberni nie było już szkół średnich dla Polaków. Uczyłem się wówczas jako samouk.

Mój ojciec z zawodowego wojskowego przekształcił się całkowicie w gospodarza. Mieliśmy około 5 mórg ziemi ornej, na co składały się zakupy poczynione tuż przed wojną i rodzinne wiano mej mamy. Ziemia ta dzieliła się na pięć odrębnych kawałków, z których dwa oddalone były od miasta o kilka ładnych kilometrów. Nie byliśmy w stanie uprawiać całej tej ziemi. Dwa najdalsze fragmenty rodzice podnajmowali więc dwóm, chyba bezrolnym, chłopom z najbliższej polskiej wsi. Byli oni analfabetami i na umowach podpisywali się, jeden dwoma krzyżykami, a drugi trzema.

Dziwiłem się, że tym dorosłym, mądrym, pracowitym ludziom nie było dane w niepodległej Polsce nauczyć się pisania i czytania, tych podstawowych przecież umiejętności ludzkich. Żle to świadczyło o dbałości państwa o swych obywateli.

Przed przyjściem Niemców w lipcu 1941 r. było w miasteczku kilka dni bezkrólewia, po wcześniejszym wycofaniu się Rosjan. W tym czasie w sąsiedniej wsi Czechów, oddalonej o ok. 4 kilometry, doszło do pierwszej w okolicy rzezi kilkunastu Polaków, dokonanej przez Ukraińców. Zamordowani zostali w okrutny sposób wszyscy Polacy, mieszkający w tej wsi, bez względu na płeć i wiek, przy czym większość tragedii rozegrała się wewnątrz mieszanych rodzin.

Była to jedna z pierwszych akcji eksterminacyjnych, jakie później, zwłaszcza od jesieni 1942 roku, realizowali na szeroką skalę nacjonałiści ukraińscy, głównie po przez swą Ukraińską Powstańczą Armię. Wówczas spalone zostały prawie wszystkie wsie polskie, zaś ich ludność, która wcześniej nie uciekła do miast, wymordowana w okrutny sposób. Napady te niejednokrotnie przedstawiano bałamutnie w lokalnych szmatławcach, jak nazywano niemieckie gazety dla miejscowej ludności, jako dzieło band bolszewickich.

W tej wsi Czechów kilka miesięcy wcześniej byłem z mamą, żeby w tamtejszej olejarni wytłoczyć olej słonecznikowy dla naszych własnych potrzeb. Była tam bowiem najbliższa, samoobsługowa olejarnia, dostępna dla wszystkich za niewielką opłatą. Pamiętam, że wyglądem wioski byłem wprost przerażony. Stanowiły ją małe chaty-lepianki, przytulone do siebie wzdłuż szerokiej, rozjeżdżonej, błotnistej drogi. Wszystkie kryte słomą, z małymi okienkami i drzwiami. Jedyne większe obiekty we wsi to była właśnie ta olejarnia o drewnianej konstrukcji, z halą, w której środku znajdowało się urządzenie do wytłaczania oleju. Prawdopodobnie pochodziło ono jeszcze z XIX wieku.

Za skrajną biedę ludzi, żyjących w tych strasznych wsiach, za ich zacofanie cywilizacyjne i analfabetyzm niemałą odpowiedzialność ponosił panujący w Polsce międzywojennej ustrój społeczno-gospodarczy i sanacyjne, prawicowe władze państwowe, które na tym ustroju się opierały.

Sporo czytałem, różne wypożyczone z biblioteki książki, ale też dwa roczniki "Kuriera Warszawskiego" z ostatnich lat przedwojennych. Były dla mnie kopalnią wiadomości o Polsce, których na bieżąco, jako zbyt młody, nie śledziłem.

Szczególnie interesowały mnie artykuły o gospodarczych problemach i rozwoju kraju. Nie były one zbyt budujące. Wiele pisano o realizacji kilku, czy kilkunastu, obiektów przemysłowych w nowotworzonym COP tj. Centralnym Okręgu Przemysłowym oraz o rozbudowie portu i miasta Gdyni. I to były niewątpliwie osiągnięcia. Lecz bardzo dużo relacji było też o panującym się w Polsce wielkim bezrobociu i świadczących o mizernym stanie naszej gospodarki w ogóle.

Z tych gazetowych annałów wyczytały wyraźnie: z jednej strony niedorozwój gospodarczy państwa i jego wielkie zacofanie, co najmniej w stosunku do ościennych krajów, oraz z drugiej strony nedorzeczna pycha elity rządzącej, głoszącej o mocarstwowości Polski. W konsekwencji gospodarki nie stać było na stworzenie nowoczesnych struktur wojskowych, a sarmackie zadufanie rządzących zaowocowało katastrofalną polityką zagraniczną.

Lata wojny szczególnie jaskrawo obnażyły wcześniejsze zauroczenie i umizgi przedwojennych prawicowych elit polskich do ideologii faszystowskiej. Realizację tej ideologii doświadczał potem dotkliwie cały naród polski przez cały czas okupacji niemieckiej. Najokrutniej, w ludobójczym wymiarze, faszyzm realizował się w stosunku do narodowości żydowskiej. Jej tragiczny los był w zasięgu moich własnych obserwacji, gdyż w miasteczku, w którym zamieszkiwałem na Kresach w okresie wojny, Żydzi stanowili jedną czwartą ludności.

Już od sierpnia 1941 do lata 1942 r. rodziny żydowskie przesiedlano i wywożono z miasta do jakichś robót, zaś najczęściej do obozów koncentracyjnych, o których istnieniu oni sami, jak również pozostała ludność, właściwie nie wiedzieliśmy. Latem 1942 r. specjalne niemieckie oddziały "Einsatzkomando" przystąpiły do całkowitej likwidacji pozostałej ludności żydowskiej. Umęczonych ludzi zabijano strzałami z karabinów na cmentarzu żydowskim, położonym na skraju miasta, lub na miejscu, w domach i na ulicach.

Po napaści Niemiec na Rosję, późniejszym przystąpieniu do niej Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza po zawiązaniu się Wielkiej Koalicji przeciwko Niemcom i ich sojusznikom - sytuacja geopolityczna Polaków uległa zasadniczej zmianie.

W ciemnym tunelu wojennych zdarzeń, światełko sprawy polskiej zaczęło błyszczeć wreszcie jaśniej i bardziej optymistycznie. Byliśmy po właściwej stronie państw sprzymierzonych przeciwko sprzysiężeniu zbrodniczego faszyzmu z pruską zaborczością, od wieków nam wrogą. Należało tę naszą pozycję wewnątrz Wielkiej Koalicji konsekwentnie umacniać i wykorzystywać na rzecz polskiej racji stanu. Czas pokazał, że prawicowa część Polaków do takiego działania nie była gotowa.

Poczynając od 1943 r. Niemcy przegrywali i cofali się na wszystkich frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim. Zbliżał się on do nas coraz bardziej. Słyszeliśmy też wiele o nasileniu rosyjskich partyzanckich akcji, skierowanych głównie przeciwko liniom komunikacyjnym i transportom kolejowym. Zaś w kwietniu 1944 r. znaleźliśmy się już na bezpośrednim zapleczu frontu wojennego, który zatrzymał się w odległości 20 kilometrów od naszego miasteczka.

Dla całej społeczności polskiej było jasne, że na tych wschodnich terenach będzie z powrotem Radziecka Ukraina, a nie Polska, o której mówiło się, że zostanie przesunięta na zachód. W tej sytuacji, za zgodą władz niemieckich, rozpoczął się masowy exodus ludności polskiej. Przed wszystkim wyjeżdżały rodziny, mające krewnych w zachodnich województwach GG, ale również, coraz więcej rodzin wyjeżdżało po prostu w nieznaną.

Moja rodzina pojechała do Jordanowa, małej miejscowości na Podhalu. Zamieszkiwaliśmy tam i zaprzyjaźniliśmy się z pewnym małżeństwem. Niekiedy na brydża chodziliśmy do krewnych tych naszych sąsiadów. Odbywały się u nich czasami dyskusje polityczne. Mogłem domyślać się, że zwłaszcza jeden z domowników był znaczącą postacią w lokalnej konspiracji AK. Z rozmów wyraźnie wynikało, że Armia Krajowa hołduje teorii dwóch wrogów Polski, którymi w równym stopniu są Niemcy i Rosja. Stąd organizację obowiązywała zasada "stania z bronią u nogi" i czekania na wynik wzajemnych zmagani wojennych obu przeciwników.

A więc część Polaków, których reprezentował emigracyjny rząd londyński i jego agendy w kraju, nie zdecydowała się na pełne współdziałanie wewnątrz Koalicji i odbudowę państwowości polskiej w oparciu o tę współpracę. Wybrała drogę skłócania naszych aktualnych sojuszników, przewidując przerodzenie się II wojny światowej w trzecią wojnę między nimi. Dopiero w jej wyniku miała powstać wymarzona Rzeczpospolita, wprawdzie mocno poturbowana, ale za to z majątkami ziemskimi i folwarkami na Wołyniu, a może jeszcze dalej.

W okresie lata i jesieni 1944 r. szale wojny wyraźnie przechyliły się na stronę koalicji państw, walczących z państwami "Osi". W dniu 6 czerwca dokonana została inwazja amerykańsko-angielska na plażach Normandii we Francji, Niemcy ponieśli też dotkliwe porażki na frontach wschodnich.

Na tym tle absolutnym dysonansem było zbrojne powstanie w Warszawie, które wybuchło przeciwko Niemcom 1 sierpnia z rozkazu dowództwa Armii Krajowej. Powstanie upadło po dwóch miesiącach krwawych walk, podczas których zginęło ponad 200 tysięcy mieszkańców naszej stolicy, zaś lewobrzeżna Warszawa decyzją Hitlera została prawie doszczętnie zniszczona.

Spółeczeństwo polskie było porażone skutkami Powstania. Wyrażane były opinie o jego sprowokowaniu przez Niemców, którym ostatecznie w niczym nie przeszkodziło ono w dokończeniu pomyślnej kontrofensywy pancernej na wschód od Warszawy. Przeważało jednak przekonanie o niefrasobliwej lekkomyślności autorów Powstania i szeroko komentowano słowa gen. Andersa, które po pewnym czasie dotarły do kraju, że *“decyzja o Powstaniu była zbrodnią, za którą jego decydenci winni stanąć przed trybunałem stanu”*.

Winy za klęskę powstania dopatrywano się też w braku poważniejszej pomocy ze strony sojuszników zachodnich, a przede wszystkim ze strony Związku Radzieckiego. Ale ta czysto propagandowo-polityczna ocena przyczyn klęski przebiła się, bałamutnie określana za najważniejszą, dopiero po wielu latach.

W każdym bądź razie autorzy Powstania sami w żadnym stopniu nie poczuli się do jakiegokolwiek odpowiedzialności za jego katastrofalny finał. Podobnie jak zresztą cała formacja polskiej prawicy, dla której było ono zwieńczeniem jej doktryny ideologicznej i marzeń o swej hegemonii, oraz konsekwencją całej jej dotychczasowej działalności politycznej.

Tymczasem Powstanie skutkowało na bieżąco tragediami osobistymi setek tysięcy ludzi, zmuszonych do opuszczenia Warszawy i gigantycznymi problemami jej odbudowy, z jakimi musiał się borykać naród już po zakończeniu wojny. Jakże inaczej wyglądałaby Polska powojenna, gdyby nie musiano przez wiele lat przeznaczać bez mała połowy budżetu państwowego na odbudowę stolicy.

Moja rodzina już w marcu 1945 r. przeniosła się do Kępna w województwie poznańskim, gdzie mieliśmy swój własny dom mieszkalny. Tam uczęszczałem do miejscowego gimnazjum, odrabiając zaległości w nauce.

Pewnego słonecznego dnia majowego zaskoczyła nas palba karabinowa, dochodząca z miasta. Za chwilę znaleźmy jej przyczynę: zakończyła się II wojna światowa w Europie. Nareszcie!

Odmieniła ona Polskę całkowicie. Przede wszystkim zmieniła położenie geopolityczne naszego państwa. Także w sensie dosłownym, geograficznym, gdyż nastąpiło przesunięcie naszych granic zachodnich do Odry i Nysy Łużyckiej, zaś granice wschodnie ustalone zostały na linii rzek Bugu i Sanu. Tak więc po II wojnie światowej Polska po wielu stuleciach powróciła do swych pradawnych, piastowskich rubieży.

W pierwszych dniach majowych wziąłem udział, zupełnie przypadkowo, we wiecu zorganizowanym na Rynku kępińskim z okazji 1 Maja, czy też końca wojny. Z prowizorycznej, drewnianej trybuny przemawiali I sekretarz Komitetu Powiatowego PPR oraz jakiś, wyższej rangi, oficer wojska polskiego. W niedługim czasie na tegoż I sekretarza dokonany został zamach przez nieokreśloną podziemną organizację. Jednakże uzbrojeni osobnicy, którzy włamali się nocą do mieszkania, nie zastali go, gdyż trafił chciał, iż na kilka godzin wcześniej zawezwany został w trybie nagłym w sprawach służbowych do Poznania. Zawiedzeni bojownicy narodowo-niepodległościowi (jak to się dziś mówi) zastrzelili więc “tylko” jego żonę i dwoje małych dzieci.

II wojna światowa skończyła się na frontach europejskich, ale trwała niestety w obrażeniach i umysłach części Polaków. To też kontynuowali ją na wewnętrznym froncie polsko-polskim, na przekór całej reszcie społeczeństwa, które zabrało się ostro do pracy, nauki i odbudowy zniszczonego kraju.

Ta wojna domowa musiała mieć oczywiście jakiś swój cel, uzasadnienie i nadzieje. Głoszonym głośno celem była Rzeczpospolita wolna, święta i niepodległa, co najmniej w przedwojennych granicach - zamiast 13. republiki sowieckiej, jaką przewidywali prawicowi ideolodzy od siedmiu boleści. Uzasadnieniem była obrona przed kołchozami i wspólnymi żonami, które ciż sami zapowiadali z pełnym przekonaniem. Zaś nadzieją była trzecia wojna światowa, jaka lada dzień, tydzień miała wybuchnąć, aby zrealizować te świetlane marzenia sarmackich superpatriotów.

W mym otoczeniu, w skali, można powiedzieć, “ulicznej”, specjalistą od prorokowania nowej wojny światowej był sąsiad kolejarz, pracujący na stacji kolejowej w Kępnie. Trudnił się przetaczaniem wagonów towarowych i drobnymi kradzieżami z tychże. Ciągle coś sprzedawał, co mu się udało wygrzebać, czy wyciągnąć z wagonów. Równocześnie regularnie zapowiadał coraz to nowe terminy wybuchu trzeciej wojny światowej pomiędzy państwami Europy Zachodniej i USA a ZSRR. Tłumaczyłem mu wielokrotnie, że nikt, po tak strasznej, dopiero co ukończonej, wojnie nie zechce rozpętać nowej. Ale on wiedział swoje i znów ogłaszał kolejny termin na najbliższe święta, na lato, lub zimę. Zresztą nie on jeden. Nie potrafiłem wtedy tych samobójczych dewiacji zrozumieć.

Już w sierpniu 1945 r. znalazłem się we Wrocławiu, gdzie po uzyskaniu przyśpieszonej matury w Wałbrzychu, rozpocząłem w 1946 r. studia na Politechnice Wrocławskiej. Cały ten czas w mieście trwała wielka wymiana ludności niemieckiej na polską, jak zresztą na całych Ziemiach Zachodnich.

I tam dosięgły mnie polskie swary. W dniu robotniczego Święta 1-Maja byłem uczestnikiem-widzem pierwszego pochodu ulicami Wrocławia. Oglądałem go, stojąc obok góry gruzów, na której usadowił się tłumek, takich jak ja, gapiów. Pochód nie był zbyt okazały, jeśli przyrównać do późniejszych manifestacji pierwszomajowych. Szeregi liczyły nie więcej niż 6-8 osób. Zapamiętałem natomiast pewien szczegół, który nigdy później nie miał miejsca.

Mianowicie, gdy już właściwie pochód miał się ku końcowi, gdzieś w znacznej odległości widać jeszcze było jakąś maszerującą grupę. Kiedy zbliżyli się, można było zorientować się po sztandarach i transparentach, że są to członkowie i sympatycy Polskiego Stronnictwa Ludowego St. Mikołajczyka. Tym dystansem od głównego trzonu pochodu prezentowali swą opozycyjność do aktualnych władz kraju. Powitały ich gwizdy i okrzyki "Precz z reakcją!" itp. ze strony tej grupy na gruzach.

Był to okres zapoczątkowania szerokiej propagandy i sporów na temat pytań referendum ludowego, rozpisanego na dzień 30.VI.1946 r. Przedmiotem referendum było wypowiedzenie się obywateli w trzech kwestiach ogólnonarodowych. Za lub przeciw: likwidacji Senatu, wpisania do Konstytucji zasad reformy rolnej i nacjonalizacji gospodarki, oraz utrwalenia granic Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Opozycyjne PSL wzywało do głosowania NIE na pierwsze pytanie, niektóre inne ugrupowania opozycyjne były nawet za głosowaniem 3 razy NIE. Partie rządzące wysuwały oczywiście hasło głosowania 3*TAK. Takie też napisy, wypisane białą farbą, pojawiły się we wielkiej ilości na murach Wrocławia i całego kraju. Część z nich przetrwała potem przez wiele lat.

Dla mnie było oczywiste, że upaństwowienie gospodarki narodowej było jedyną szansą w ówczesnych warunkach na jej szybką odbudowę. Natomiast parcelacja ziem obszarńicznych była spełnieniem odwiecznych marzeń o sprawiedliwości społecznej na wsi. Zaś integracja Ziemi Zachodnich w ramach Polski, kosztem wschodnich kresów - jeśli nie liczyć emocjonalnych resentymentów - niosła dla państwa i narodu polskiego wielkie korzyści na już i na skalę historyczną. Rozumiałem to dobrze na podstawie własnych przeżyć i obserwacji.

Mimo forsownej nauki i pracy zarobkowej znajdowałem jeszcze czas na czytanie gazet, tygodników a nawet książek. Interesowały mnie zwłaszcza krajowe problemy gospodarczo-społeczne i polityczne. Najbardziej czytany przeze mnie w 1946 r. czasopismem był "Przekrój" krakowski. A to głównie za sprawą cyklu artykułów Edmunda Osmańczyka pt. "Sprawy Polaków". Osmańczyk, pisząc o bieżących sprawach geopolitycznych, oceniał stan i położenie Polski i Polaków, głównie w aspekcie zmian, mających miejsce w Europie w wyniku zakończonej wojny i sytuacji powojennej.

Mocno akcentował wielką szansę dla Polski, jaką dawało oparcie się państwa na starych państwowych granicach na Odrze i pozbycie się ziem wielonarodowościowych na wschodzie, wraz z obłądnymi, samobójczymi koncepcjami "Polski od morza do morza", "Przedmurza chrześcijaństwa" itp. Uporczywie nawoływał do wysiłku "mózgów i mięśni", aby odrobić dystans cywilizacyjno-gospodarczy, dzielący nas od Europy.

Ostrzegał, że jeśli nie dorównamy pracowitością Niemcom, to pomimo ich klęski wojennej, świat zlekceważy nasze racje i odwróci się od Polski. Podzielałem w pełni poglądy Osmańczyka, zwłaszcza że pokrywały się z moimi własnymi odczuciami i obserwacjami w czasie pobytu na Śląsku, w Tarnopolskiem, Poznańskim i na Ziemiach Zachodnich, we Wrocławiu i Wałbrzychu.

Faktycznie szybka odbudowa miast, komunikacji, przemysłu, szkolnictwa - w ogóle wszystkich dziedzin gospodarki - napawała optymizmem. Chociaż, wówczas w 1946 i 1947 r. było jeszcze bardzo dużo trudności, chaosu, improwizacji, wędrówek ludów i niepewności co do stabilności politycznej Polski w nowych granicach.

To ostatnie wynikało m.in. z wystąpień Churchilla w Fulton oraz sekretarza stanu USA J. Byrnesa w Stuttgarcie, w których zasugerowana została Niemcom możliwość rewizji uchwał poczdamskich i jałtańskich w sprawie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej. Polska bowiem ewidentnie wpisana została przez naszych dotychczasowych zachodnich przyjaciół na listę wrogów, natomiast miejsce beniaminka Zachodu w Europie, podobnie jak po pierwszej wojnie światowej, zajęły Niemcy Zachodnie. Stało się to, czego obawiał się E. Osmańczyk, tylko z innych przyczyn, niż przewidywał.

Nastąpił też wówczas podział świata na dwa przeciwstawne sobie obozy państw. Przewodziły im Stany Zjednoczone i ZSRR, które konkurowały o hegemonie na świecie. Podział dokonał się rów-

niez w zróżnicowanym nazewnictwie powstałych bloków. Nasza prasa pisała o obozach demokratycznym i imperialistycznym, zaś według prasy zachodniej świat dzielił się na blok państw komunistycznych i "Wolny świat".

Kiełkująca zimna wojna między mocarstwami światowymi przenikała i na grunt Polski. Zagościła również do małego kościółka w Parku Szczytnickim we Wrocławiu, do którego niekiedy chodziłem na msze niedzielne. Oto ksiądz proboszcz poczęstował wiernych kazaniem o rozpuszczeniu, prześladowaniu Kościoła w Polsce i o "czerwonych diabłach". Gdy te czerwone diabły powtórzyły się kilka razy - wyszedłem z kościółka, żegnając się z Kościołem na zawsze.

Oczywiście to jątrzące, polityczne kazanie było jedynie przysłowiową kroplą, jaka przelała kielich goryczy. W kieliszku było już wiele innych kropel, sączonych do niego przez lata:

- w 1933 r. państwo Watykan, jako jedno z pierwszych, uznało hitlerowską III Rzeszę, a w VII 1933 r. zawarło z Niemcami konkordat na bardzo dogodnych dla Hitlera warunkach;

- w 1935 r. Papież Pius XI błogosławił wojska faszystowskich Włoch, wyprawiające się na podbój Abisynii;

- w 1936 r. Kościół poparł prawicowy pucz gen. Francisco Franco przeciw legalnym władzom republikańskiej Hiszpanii i przez cały czas krwawej wojny domowej wspierał go efektywnie;

- Pius XII nie potępił agresji niemieckiej na katolicką Polskę we wrześniu 1939 r., za to w grudniu 1939 r., łamiąc konkordat zawarty z Polską w 1925 r., mianował biskupów niemieckich Spletta z Gdańska i Breitingera z Wrocławia administratorami polskich diecezji, przyłączonych do III Rzeszy;

- Watykan oficjalnie i żarliwie popierał Hitlera we wszystkich jego agresywnych działaniach. Inwazję na Rosję papież uczcił orędziem, wieszcząc rychły triumf Niemiec w walce o "obronę zrębów chrześcijańskiej kultury";

- przez cały okres wojny Watykan nie zdobył się na słówko potępienia zbrodni hitlerowskich w katolickiej Polsce i innych krajach okupowanych;

- natomiast w 1946 r. Pius XII potępił Polskę za akcję przesiedlania Niemców do zachodnich stref okupacyjnych, prowadzoną na mocy decyzji zwycięskich mocarstw w Poczdamie.

W taki oto sposób Kościół, dzięki własnym usilnym staraniom, stracił jedną owieczkę, a właściwie baranka, ze swej licznej trzody wiernych. **To pożegnanie się z mistyczną wiarą katolicką spowodowało w ogóle przemeblowanie mego światopoglądu na jednoznacznie materialistyczny.**

Pomogła mi w tym lektura licznych książek o tematyce społeczno-politycznej i historycznej. Przeczytałem wtedy między innymi także kilka broszur i książek Lenina, a nawet przymierzyłem się do "Kapitału" Karola Marksa. Ale pojęcia wartości dodanej, przemiany pieniądza w kapitał czy akumulacji pierwotnej nie mieściły się w moim ograniczonym umyśle i utknąłem ostatecznie na pierwszym rozdziale epokowego dzieła brodatego filozofa.

Tym niemniej to właśnie w 1947 roku, wraz z osiągnięciem przeze mnie wieku dojrzałego, to jest 21 lat, ukształtowała się ostatecznie i na trwale, na dobre i na złe, moja lewicowa orientacja polityczna. Nie żałuję tego w pełni własnego dobrowolnego wyboru, nie skażonego ani doraźnym kunktatorstwem, ani jakimiś naciskami czy inspiracjami z zewnątrz.

Ostatecznie to lewica osadziła Polskę z powrotem w najlepszych z możliwych, historycznych granicach piastowskich, zniosła ostatnie elementy feudalnego ustroju na wsi, zlikwidowała analfabetyzm i rozpowszechniła szeroko oświatę w całym społeczeństwie oraz odbudowała kraj z potwornych zniszczeń wojennych.

Wreszcie to pod rządami lewicy wyprowadzono Polskę z zacofanych struktur gospodarki typowo rolniczej na tory gospodarki przemysłowo-rolniczej, porównywalnej bez mała z przodującymi krajami europejskimi. Zbudowano od podstaw tysiące zakładów przemysłowych, nową stolicę i setki osiedli mieszkaniowych. Ja też, podobnie jak miliony mych współrodaków, miałem w tym swój jednostkowy, acz nie mały, udział, po przez swą przeszło czterdziestoletnią pracę w zawodzie architekta.

Kraków, grudzień 1997 r.